



Gramatyka opisowa śni mi się po nocach

Z Krzysztofem Babickim rozmawia Marta Kąsiel:

Niegdyś studiował polonistykę na Uniwersytecie Gdańskim, a teraz reżyseruje spektakle, jest dyrektorem artystycznym Teatru Miejskiego im. Witolda Gombrowicza w Gdyni oraz prowadzi zajęcia ze studentami Wydziału Filologicznego. Krzysztof Babicki tak wspomina Uniwersytet sprzed kilku dekad, że obecnym studentom wcale nie wyda się aż taki odległy...

Jak to jest wrócić po kilku latach do „szkolnej ławy”? No, może tak niezupełnie, w innym charakterze – teraz jako wykładowca.

To podróż sentymalna. Wchodzę na Uniwersytet i spotykam koleżankę z roku, która prowadzi sekretariat na polonistyce. Wygląda tak samo zjawiskowo jak podczas studiów. Nie wiadomo kiedy te lata minęły! Zwyczajnie jestem ciekaw ludzi, którzy teraz są studentami Uniwersytetu Gdańskiego. Mieszkam 30 kilometrów od Wydziału Filologicznego, a mimo to przyjeżdżam w poniedziałki (mój jedyny wolny dzień), by prowadzić z nimi zajęcia.

Pochodzi Pan z Gdańska, więc wybór naszej uczelni wydawał się naturalny. Skąd pomysł studiowania akurat polonistyki?

Moja mama była absolwentką bibliotekoznawstwa we Wrocławiu, a ojciec lekarzem pediatrą. Rodzice mieli bzika (to dobre słowo!) na punkcie teatru. Oglądali wszystkie spektakle, chodzili do Teatru Wybrzeże, Teatru Muzycznego, Opery Bałtyckiej... Ojciec sugerował, żebym został lekarzem, wspominał pradziadka, który był weterynarzem we Lwowie. Jednak mama cały czas podsuwała mi książki. Później rodzice żartowali, że to przez nie oddaliłem się od medycyny. Teraz zdarza się, że myślę: „Boże święty, trzeba było posłuchać ojca i zostać lekarzem!”. Z każdą premierą człowiek musi udowadniać, że coś potrafi. A lekarz? Po prostu zbiera kolejne lata doświadczeń. Marzenia ojca spełniła moja siostra. Ja już w szkole średniej chciałem być reżyserem, prowadziłem swój teatrzyk. To były czasy, kiedy na wydział reżyserii przyjmowano osoby z dyplomem wyższej szkoły. Był moment, kiedy rozważałem zdawanie na Akademię Sztuk Pięknych. Nie sądziłem jednak, aby mój rysunek zagwarantował mi miejsce. Dużo czytałem, więc byłem pewny, że dostanę się na polonistykę. Wiedziałem, że te studia nie są najtrudniejsze ani najdłuższe. Aczkolwiek potem sparzyłem się na gramatyce języka polskiego i starocerkiewnosłowiańskim! Czasem po nocach śni mi się gramatyka opisowa! Miałem indywidualny tok studiów, więc zdobyłem dyplom w niecałe trzy i pół roku. W 75. roku zacząłem polonistykę, a w 79. studiowałem już na pierwszym roku reżyserii w Krakowie. Byłem chyba najmłodszym studentem, jakiego przyjęli; miałem 23 lata!

Jakim był Pan studentem?

Wybiórczym, uczyłem się tego, co mnie interesowało. Pozostałe przedmioty chciałem po prostu zaliczyć. Pamiętam okropną dialektologię; prowadząca zajęcia zapowiedziała, że studenci

ze stuprocentową frekwencją automatycznie dostają zaliczenie. Chodziłem więc na wszystkie ćwiczenia, bo na pewno nie mógłbym liczyć na wpis do indeksu!

Jak wtedy wyglądały studia na Uniwersytecie Gdańskim?

Był to okres wielu szalonych profesorów. Czuło się, że to początki Uniwersytetu. Ściągano z zewnątrz wielu znanych wykładowców i to przy nich wyrastali nasi gdańscy naukowcy. Chodziłem na znakomite wykłady z literatury staropolskiej profesora Edmunda Kotarskiego; nie opuściłem żadnego! Do dzisiaj mam zeszyt z notatkami! Pamiętam seminaria profesor Marii Janion czy profesora Kaszyńskiego. Bardzo dobrze wspominam zajęcia z Janem Ciechowiczem, wtedy jeszcze magistrem. Często chodziliśmy z nim do teatru, zarówno na mocne, zaangażowane intelektualnie sztuki Hebanowskiego czy Majora, jaki i na przedstawienia absolutnie lekkie. Ciechowicz nie stwarzał dystansu, rozmawialiśmy z nim o wszystkim. Mogliśmy mieć odmienne zdanie niż on, a do dziś nie zawsze się ze sobą zgadzamy. Fantastyczne były zajęcia z niewiele ode mnie starszym profesorem Zbigniewem Majchrowskim, już wtedy miałem poczucie obcowania z niezwykle umysłowością. Wielkim szczęściem było chodzenie na zajęcia profesor Ireny Sławińskiej. Nauczyła mnie szacunku do literatury i teorii teatralnych. Jej książka „Reżyserska ręka Norwida” (w której przeanalizowała didaskalia w poszczególnych sztukach pisarza) stoi na honorowym miejscu w mojej bibliotece. Uważam bowiem, że teatr repertuarowy bez literatury nie istnieje.

Już podczas studiów prowadził Pan swój teatr.

Przez tory tramwajowe przechodziło się do Wysepki (klubu w podziemiach akademika) i tam organizowaliśmy próby. Wtedy Teatr Jedyńka uchodził za nieco obrazoburczy. Pisaliśmy swoje scenariusze, wystawialiśmy spektakle, potem jeździliśmy z nimi po klubach studenckich w całej Polsce. Zaprzyjaźniony z nami, dzisiaj już profesor, Michał Błazejewski napisał książkę o Teatrze Jedyńka wydaną przez Uniwersytet Gdański. Niedawno zostałem zapytany o scenariusze albo zdjęcia z tamtego okresu. Nic nie zachowałem, bo nie mam natury archiwisty. Dużo razy się przeprowadzałem, więc odcinam się od papierów. Zatrzymuję tylko ukochane egzemplarze. Jeśli wracam do tekstu, to na nowo, bez patrzenia na pomysły sprzed 10 czy 15 lat. Nie mam sentymentu do przedstawień, które minęły.

Teraz śledzi Pan działalność teatrów studenckich? Trójmiejskich albo z innych miast?

Ostatnio młodzi ludzie zaprosili mnie do Teatru Gdynia Główna i poszedłem na ich spektakl. Bardzo mnie to interesuje, ale obowiązki nie pozwalają mi na śledzenie wszystkiego. Z czasów studenckich została mi ogromna niechęć do premier. Przez trzydzieści kilka lat pracy nigdy nie widziałem swojej premiery. Teraz w gabinecie mam ekran, który umożliwia mi podgląd na scenę. Zanim pojawiły się takie cuda techniki, to siedziałem w garderobie przy głośniku. Rano i wieczorem jestem na próbach generalnych, więc znam spektakl na pamięć... Nie przepadam za premierowym blichтром. Uważam, że dwa pierwsze spektakle są najgorsze. Wolę iść na szeregowe przedstawienie, wtedy wiem, że moja wiedza jest prawdziwa.

Dostrzega Pan różnice między uniwersytetem lat 70. a obecnym?

Kilka lat temu szokowało mnie, że studenci czytają teksty dramatów z ekranów telefonów. Ja jestem człowiekiem, który czyta z papieru. Zawsze, jak dostaję nowe sztuki, to proszę o ich wydrukowanie. To skażenie zawodowe, muszę mieć możliwość notowania. My żyliśmy w innych czasach. Człowiek był szczęśliwy, jak mógł założyć jeansowe spodnie czy kurtkę. Przypominam sobie, że starsi profesorowie byli bardzo eleganccy, zawsze przychodzili na zajęcia pod krawatem.

Co dały Panu studia? Połączenie studiów na UG i krakowskiej PWST przyczyniło się do tego, kim Pan teraz jest?

To, kim teraz jestem, przede wszystkim zawdzięczam rodzicom. Dbali o moją edukację teatralną, przynajmniej raz w miesiącu jeździliśmy do Warszawy. Nie było wolnych sobót, więc wyruszaliśmy nocnym pociągiem. Całą niedzielę spędzaliśmy w muzeach, co bardzo mnie męczyło, bo ich nie lubię. Wieczorem był spektakl, w nocy powrót, a w poniedziałek do szkoły. Mimo to ojciec nie był zadowolony z mojej decyzji odnośnie kierunku studiów. Był człowiekiem bardzo odczytanym, więc mówił: „zobacz, Czechow, Bułhakow, Schiller, Boy-Żeleński... wszyscy byli lekarzami, a też zajmowali się teatrem!” Teraz wspominam to z sentymentem, ale oczywiście miałem wolny wybór. Rodzice robili wszystko, aby umożliwić mi studia reżyserskie. Przeprowadzka do Krakowa była dla mnie nieco szokująca, pewnie dla rodziców również. Teraz okazuje się, że spędziłem tam kawał życia! Prawie dekada pracy na etacie w Starym Teatrze, 16 przedstawień zrealizowanych w innych krakowskich teatrach... A skutków smogu jakoś nie odczuwam!

Dlaczego akurat Kraków?

Odpowiedź jest prosta: nie lubię Warszawy. To miasto jest dla mnie kompletnie obce, bez duszy, pewnie zniszczono ją w Powstaniu Warszawskim. Kraków uwielbiałem zawsze, jeździłem na spektakle Konrada Swinarskiego i Jerzego Jarockiego. Wiedziałem, że jeśli chcę uczyć się teatru zawodowego, to tylko tam. Wtedy kursował jeden nocny pociąg, a teraz kupuje się kilka gazet i w niecałe 6 godzin Pendolino dowozi na miejsce. Kraków jest moim miastem teatralnym; studiując reżyserię, poznawałem historię i teorie teatralne. Miałem zajęcia z profesor Ewą Miodońską-Brookes, profesorem Janem Błońskim, natomiast praktyki uczyli mnie Zygmunt Hübner i Tadeusz Kantor.

Teraz Pan prowadzi zajęcia na wiedzy o teatrze oraz zarządzaniu instytucjami artystycznymi.

Moje zajęcia mają kształt warsztatu reżyserskiego; analizujemy różne sztuki, czasem jest to Fredro, Mrozek czy zupełnie współczesny tekst. Najpierw stawiam studentów w sytuacji aktorów, którzy czytają sztukę, a potem kompletują obsadę, określają temat spektaklu, opowiadają o scenografii, muzyce... Chcę im pokazać, że siła każdej instytucji kultury tkwi w różnorodności. Prowadzę Teatr Miejski i muszę przygotować ciekawą ofertę dla wszystkich widzów. Studenci teatrologii powinni wiedzieć, że tylko głupi recenzent będzie pisał według swojego widzimisię. Subiektywne pisanie o tym, co mi się podoba, a co nie – jest dziecinadą. Wtedy pochwała staje się panegirikiem, a krytyka atakiem. Krytyk powinien umieć ocenić klasę spektaklu oraz profesjonalizm aktorów i reżysera.

Co uważa Pan o kierunkach humanistycznych? Niestety mówi się o nich dużo złego, podobnie o studentach...

Na Wydziale Filologicznym spotykam różne grupy: jedni mnie intrygują, mają swoje pomysły, są samodzielni, a czasem zdarzają się tacy, którzy nic nie oglądają ani nie czytają. Nie rozumiem, po co niektórzy studiują. Miewam wrażenie chłodnego słuchacza: przyjdę, posiedzę, posłucham... byle odfajkować zajęcia. Z drugiej strony to budujące, że w technokratycznym świecie tyle osób interesuje się naukami humanistycznymi. Mam satysfakcję, kiedy studenci przychodzą na wszystkie zajęcia, mimo że nie sprawdzam obecności.

Czyli nie jest Pan surowym wykładowcą?

Nie, daję wybór studentom. Może gdyby moje zajęcia kończyły się egzaminem, to przykręciłbym śrubę, abym sam się nie rumienił, że studenci czegoś nie potrafią.

Jak wygląda Pana praca w teatrze? Pewnie trudno połączyć funkcje reżysera i dyrektora, to dwie całkowicie różne role.

Zawsze byłem tylko dyrektorem artystycznym. Nie znam się na ekonomii, przepisach prawnych czy przetargach. Mogę jedynie rzucać nowe pomysły. Przebudowaliśmy cały teatr, mamy nową widownię i klimatyzację w całym budynku. Aktorzy cieszą się, że w końcu nie będą słyszeć trzeszczących foteli! Liczę, że wkrótce zabierzemy się za elewację. Mam poczucie, że udało nam się coś zdziałać. Minęło 5 lat i z 18% frekwencji mamy 90%. W Lublinie także zajmowałem się tylko działem artystycznym. Nie interesuje mnie dyrekcja naczelną; to fikcja, która istnieje tylko w Polsce. Niemcowi czy Szwajcarowi nie mieści się w głowie, że można być „intendant” (czyli dyrektorem naczelnym i artystycznym); tak samo jest w Rosji. Taka dyrekcja uniemożliwia uczciwe zbilansowanie. Teatr to przedsiębiorstwo, musi być kontrola ekonomiczna nad działem artystycznym.

Jak dokładnie wygląda Pana praca?

Spotykam się z reżyserami, czytam teksty, które dostaję od agencji dramaturgicznych. Dzisiaj załatwiłem już wszystkie sprawy biurowe, teraz rozmawiam z panią, o 15 mam wywiad w radiu, potem wracam na czterogodzinną próbę, bo wznawiamy spektakl „Śnieżka i krasnoludki”. Nie wyobrażam sobie zajmować się kwestiami ogrzania budynku! Czasem pracuję od godziny 10 do 22, ale bywa, że mogę wyjechać na 3-4 dni i obejrzeć spektakl w innym mieście – staram się oglądać przedstawienia z całej Polski. Jeśli teatr planuje 6 premier w sezonie, to mogę zrealizować góra dwie (stempel dyrektorski), a pozostałe 4 oddaję innym. Dzięki temu także aktorzy mają poczucie zmienności. Ja również potrzebuję współpracy z różnymi zespołami. Reżyseruję w Krakowie, Katowicach, Radomiu... Chociaż jestem już wygodny i nie bardzo chce mi się wyjeżdżać.

Łatwiej Panu reżyserować w innych teatrach i współpracować z ich dyrektorami, odkąd sam Pan „urzęduje”?

Nie zauważyłem takiej zależności. Kiedy jestem reżyserem gościnnym, to po próbie, zamiast do biura, mogę iść na spacer. Jednak wtedy od wtorku do piątku jestem poza Gdynią. Wracam w piątek wieczorem, przychodzę na spektakl, w sobotę zajmuję się zaległościami biurowymi, zostaje na wieczornych przedstawieniach, w poniedziałek znowu biuro... Nie wyobrażam sobie wyjazdu na miesiąc; trzeba być na miejscu.

Na czym polega wyjątkowość Pana pracy?

Czy to takie wyjątkowe? Dobrze jest robić to co się lubi, a ja zawsze bardzo lubiłem reżyserować i... chodzić po górach. Czasem dobrze jest spuścić kurtynę i odizolować się od teatru. Po zamknięciu Sceny Letniej mam ponad miesiąc przerwy. Zajmuję się wtedy wszystkim innym tylko nie teatrem.

Co Pan wtedy robi?

Mam więcej czasu dla rodziny, razem z żoną i córką wyjeżdżamy na wspólne wakacje. Na przynajmniej 10 dni jadę z moim siostrzeńcem w góry. Jeszcze się wspinam! Już nie w Alpach, ale w słowackich Tatrach. Jedziemy z liną i robimy graniówki. Sięgam wtedy po przewodniki taternicze, to są 24 tomy, więc jest co czytać!

Na koniec proszę powiedzieć, co poleciłby Pan studentom, aby w przyszłości spełniali

swoje marzenia.

Trzeba czytać, oglądać i otwierać się na to, co myślą inni. Należy umieć bronić swojego zdania oraz mieć dużo pasji. Czasem zastanawiam się, co innego mógłbym robić... Do pracy w szkole brakuje mi cierpliwości. Może nocny portier? Dużo czytam, więc mógłbym to połączyć. W każdym zawodzie są momenty, kiedy trochę mniej lubimy naszą pracę. Ja kocham reżyserię i nie wyobrażam sobie bez niej życia.

**Rozmawiała: Marta Kąsiel,
studentka kierunku Wiedza o teatrze
na Wydziale Filologicznym UG**